№ 37. Warszawa, dnia 12 Września (31 Sierpnia) 1896 roku. Rok XXXVIII.



Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

OD REDAKCYI.

Przypominamy odnowienie prenumeraty na kwartał czwarty roku 1896-go. Warunki prenumeraty pozostają te same a mianowicie:

W Warszawie: kwartalnie rs. 1.

Na prowincyi z przesyłką pocztową:

kwartalnie rs. 1 kop. 25.

półrocznie rs. 2 kop. 50.

rocznie rs. 5.

Adres: „Tygodnika mód i powieści" w Warszawie, Chmielna Nr 26.

Upraszamy Szanownych Prenumeratorów o nadsyłanie kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Za zmianę adresu kop. 15.

Antoni Miecznik.

OWANES OHANA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Poślubiła tego Szymonowicza, do którego zresztą po kilku latach pożycia przyzwyczaiła się zupełnie. Nie kochała go wprawdzie tą pierwszą, gorącą miłością, ale go szanowała i lubiła za jego dobroć i delikatność, której nie doświadczyła ani od ojca, ani od braci. Człowiek ten umiał sobie zjednać ją łagodnością i taktem, kochał ją zawsze jednakowo, spokojnie. Zaraz po pierwszym roku małżeńskiego pożycia urodził im się syn, którego jednak wkrótce stracili; potem przyszła na świat córka. Oboje miłowali to dziecko jedyne, małą Zosię, dziewczynkę sprytną, inteligentną. Zosia łączyła ich ściślej i wytwarzała pomiędzy niemi harmonię małżeńską, którą ludzie zwykli nazywać szczęściem.

Życie byłoby im schodziło zwyczajnym trybem. Młoda kobieta już nie czuła tego ciężaru losu, jaki ją w początkach przygniatał, miała wytknięty kierunek myśli. Na Zosi skupiła się cała rzewność i czułość kobieca.

O poetycznym towarzyszu młodości swojej nie zapomniała, nie mogła zapomnieć, stał się on dla niej tem lubem tchnieniem, co ją owiewało i godziło z życiem. W sercu nosiła wieczne wspomnienie chwil szczęśliwych, najszczęśliwszych. Nic o nim prawie od chwili wyjazdu nie słyszała; raz tylko jej serce żywiej zabiło, kiedy młody Domaszkan wracając z Odessy opowiadał jakieś nieprawdopodobne wieści o Ohanie i jego szczęściu kupieckiem. Nie przypuszczała, żeby to było prawdą; skłonniejszą teraz była uwierzyć, że on tam gdzieś przepadł w wirze dalekiego świata i zapomniał o niej, a jeżeli pamiętał, to pamięć ta słabo tleć musiała w jego duszy.

Tymczasem los znowu ich zbliżył; Owanes wrócił młody, piękny, bogaty i był w tej chwili ich sąsiadem najbliższym.

Od chwili pierwszego spotkania z nim młoda kobieta uczuła przypływ krwi do serca. Ogień, który uważała za wygasły oddawna rozpalił się płomiennie. Każde słowo, każde spojrzenie Owanesa rozżarzało go. Było jej rozkosznie widząc jak wspomnienia z przed lat dziesięciu ożywają, zajmują jej umysł i wyobraźnię, a zarazem bała się ich; jakaś nieodgadniona trwoga chwytała ją za serce na samą myśl o Ohanie.

III.

Już miesiąc minął, odkąd Ohana osiadł w Nikoresztach. Przez ten czas krótki zdążył poodnawiać dawne znajomości i wejść w to życie obywatelskie, od którego odwykł był na obczyznie. Przyjmowano go wszędzie z wyszukaną uprzejmością, gdyż wieść o milionerze rozbiegła się zaraz po wszystkich odajach.

Opowiadano sobie o nim dziwy, anegdoty prawie; ztąd ta ciekawość, która dawnych znajomych ku niemu ciągnęła. Każdy go pragnął widzieć, poznać bliżej, rozmawiać z nim. Jedni mu zazdrościli, inni znowu ograniczali się na zdumieniu. Pan Kajetan, do którego Ohana również zawitał, niebawem po pierwszej wizycie u Szymonowiczów, spoglądał na niego z miną niby to zadowoloną, lecz zarazem i podrażnioną trochę. Nie mogło mu się w głowie zmieścić, że taki syn klucznika, pisarczyk, przeobraził się w pana

to w jakiego pana — magnata, a tymczasem ani jeden z synów jego nietylko, że nie dochrapał się fortuny, ale ograniczał się do zjadania majątku ojcowskiego.

Owanes, jakby chcąc kompletnie zadowolnić pychę swą, i wprawić wszystkich w zdumienie, niczego nie żałował, by się wyróżnić, by stanąć ponad poziom życia tych obywateli stepowych. Pochlebiało mu to, kiedy z boku usłyszał słowa pochwały i zazdrości; pragnął ich, wynagradzały mu choć w części lata spędzone na tułaczce i poniewierce wśród ludzi. Gdy go Grecy, Turcy, Włosi wynosili i podziwiali, było mu obojętnem, oni przecież nie mogli pojąć tej siły tajemnej, która nim kierowała w pogoni za groszem. Ale ci, swoi prawie, ci, co go znali niczem, ci, o których mu chodziło, stawali się mimowiednie głosicielami jego szczęścia, jego potęgi. Widział ich teraz tych, którzy przed laty mówić z nim nie chcieli, kłaniających mu się i dopominających o odwiedzenie ich domów jakby o zaszczyt jaki. Upajało go to i napełniało dziwną rozkoszą, przypuszczał bowiem, że owe echa i do niej, do tej ukochanej dochodzą. Przeczuwał, co się w sercu tej kobiety dziać mogło, kiedy słyszała na wszystkie strony jedno: a to dopiero! do czego ten człowiek rozumem dojść potrafił. To ją musiało budzić gwałtownie do życia dawnego, musiało w niej wywoływać cały szereg obrazów, przypominać miłość młodocianą.

Nie mylił się; każda wizyta jego zostawiała po sobie ślady, wrażenie niezatarte w umyśle i sercu młodej kobiety. Ona się już teraz upajała dźwiękiem jego głosu, połyskiem płomiennych oczu; każdy ruch jego potężnej i pięknej postaci drażnił, niepokoił ją. Gdy go nie widziała, brakowało jej czegoś; tęsknota dręczyła ją ciągle i czekała bezwiednie jego przybycia. Mąż tych zmian w jej sercu nie dostrzegał, widział ją zawsze taką samą, może tylko cokolwiek żywszą, jak gdyby krew w niej szybciej krążyć zaczynała. Dawna melancholia, która czasami występowała na jej oblicze zasłaniając oczy czarne powłoczem smętnem — przepadła, rozwiała się — teraz natomiast jakaś wesołość tryskać się zdawała z jej ruchów. Szymonowicz był zadowolony, przypisywał to wiośnie wcześniejszej w tym roku, jej tchnieniu ożywczemu.

Ohana powoli przywykał do nowej roli swej, obywatela stepowego. W ciągu miesiąca zdołał uregulować stanowczo interesa handlowe, ulokować korzystnie w różnych przedsiębiorstwach kapitały, które mu pozostały jeszcze w gotówce. Skończywszy w ten sposób swoje dawne zajęcia kupieckie, wziął się odrazu, jednym rzutem energii do uporządkowania majątku.

Przyjrzawszy się baczniej kupionym Nikoresztom, Ohana zaraz zmiarkował, że to nie taki świetny interes, jak myślał z początku. Ziemia leżała odłogiem w znacznej części, inwentarza nie było prawie żadnego, budynki w ruinie; sama rezydencya ogromna, a pańska z pozoru, chyliła się do upadku.

Wiosna się zbliżała, nie można było tracić dnia jednego, a on w dodatku chciał natychmiast postawić majątek na właściwej stopie.

Zrazu zamierzył oczyścić z kąkolu służbę i oficyalistów, w których widział gromadę złodziei, oszustów z rządcą Palejem — ich hersztem na czele, ale się wstrzymał po namyśle, przewidując, że po wypędzeniu wszystkich zostałby bez służby zupełnie. Usunąwszy tedy najszkodliwszych, zastąpił ich ludźmi nowymi. Paleja nie ruszył wcale ze względu, że człowiek ten chociaż łotr, mógł mu być czas jakiś użytecznym, on jeden tylko znał majątek dokładnie i umiał się oryentować w całej jego machinie administracyjnej. Nie lękał się Ohana malwersacyj, gdyż wiedział zgóry, że przed jego bacznym wzrokiem nic ukryć się nie zdoła, a czuł już teraz, jak go się Palej lęka, jak spogląda z obawą na jego wyniosłą postać, jak mu się stara przypodobać natychmiastową gotowością do wszystkich usług. Poznał w nim człowieka sprytnego i zmyślnego, a że jest złodziejem — rozumował sobie w duchu — to właściwie mówiąc, nie jego tylko wina; gdyby mu nie byli dano sposobności kradzieży, byłby może dotąd uczciwym człowiekiem. Zresztą samemu Ohanie trudno byłoby się uporać z całą czeredą nikoreskich pasożytów; nie wszędzie mógł zajrzeć, ale na szczęście miał on przy sobie człowieka, który mu był oddany duszą i ciałem.

Nazywał się ten pomocnik i wykonawca sumienny wszystkich jego planów, Tigranes Zacharyasz. Był Ormianinem z urodzenia, wychowania i charakteru. Poznał go Ohana przypadkiem w Konstantynopolu, kiedy tam przemieszkiwał, wziął go za sekretarza swego i przywiązał do siebie dobrocią i serdecznością. Tigranes powoli wdrożył się w całą działalność swego pana, a wywdzięczając mu się za względy szczególne, jakich doznawał, służył z oddaniem się całkowitem jego interesom. Jakkolwiek młody jeszcze, już jednak wrodzonym sprytem i przebiegłością umiał być swemu panu w wielu sprawach bardzo pożytecznym. Ohana lubił go za to, że był czystej krwi Ormianinem, a ta ormiańszczyzna zawsze i wszędzie pociągała go ku sobie i nęciła; miał wielką satysfakcyą, iż mógł się wywnętrzyć ze swych uczuć przed kimś, co odgadywał jego myśli nieledwie, a zarazem mówił tym językiem, który on od dzieciństwa ukochał tak serdecznie. Dziwny też był stosunek między pryncypałem i jego młodym sekretarzem; łączyła ich ta nić życzliwości szczerej, która z biegiem czasu, pomimo natury stosunku wzajemnego, w przyjaźń nawet przerodzić się może.

Była właśnie godzina ósma rano, kiedy Ohana, wypiwszy obyczajem greckim kilka filiżanek kawy czarnej, wyszedł w dziedziniec, aby się przyjrzeć restauracyi pałacu. Sam mieszkał dotychczas w oficynie, stanowiącej prawe skrzydło głównego pawilonu. Z konieczności musiał zająć skromne dwa pokoiki, bo rady innej nie było; gmach olbrzymi w ruinie, dopiero po gruntownej odnowie stać się mógł mieszkalnym. Nie dbał o niewygodę chwilową, tem więcej że przypominała mu młode lata, spędzone w oficynach różnych.

Słońce świeciło i ogrzewało ziemię powstałą z letargu zimowego. Promienie ślizgały się po drzewach, poczynających okrywać się zielenią młodziutkich liści, pełzały po trawnikach szmaragdowych, a harmonijny świergot ptactwa ożywiał zbitą gęstwinę alej lipowych, otaczających pierścieniem ogród.

Spostrzegłszy przed pałacem Paleja, rozmawiającego z jakimś pobożnej postawy żydem, zawołał go do siebie.

— Mój kochany Paleju — rzekł, — powiedz mi, czyś ogłosił na dzisiaj stawienie się do mnie dostawcom mięsa, bryndzy, robotników, jednem słowem wszystkim tym ludziom, o których mówiliśmy wczoraj?

— Ogłosiłem, domnule! Przyjdą przed południem wszyscy, z wyjątkiem Dawida Blejera, który nie może przybyć, bo jest chory; mówił, że zjawi się w Poniedziałek dopiero.

— Dobrze, czekam na nich.

— Tylko niech domnule...

Ohana spojrzał ironicznie na rządcę i rzekł:

— Przypominam ci po raz setny, że nie jestem domnulem, tylko zwyczajnym panem.

Palej trochę się zmieszał tą uwagą, wtrącił więc nieśmiało:

— Ja byłem przyzwyczajony wszystkich Sabescu tak tytułować.

— Nie wszyscy są Sabescu, mój kochany. Niech oni sobie będą domnami, a ja zostanę bojarem.— A wracając do przerwanej rozmowy, mówił dalej. — Więc się zjawią przed południem ten Rosmaner, Muterson i inni?

— Obiecali.

— Nie ma żadnych obietnic; ja nie rozumiem obietnic!

— Wiem, bojeru.

— To dobrze, kiedy już nauczyłeś się wiedzieć, jak ja myślę.

Zatrzymał się chwilkę, a potem spojrzawszy Rumunowi bystro w oczy, odezwał się:

— Teraz chciałbym dowiedzieć się od ciebie coś o stanie mojego majątku. Słuchaj więc i odpowiadaj krótko; gadułów nie cierpię.

— Słucham.

— Powiedz mi, ile zasiewacie faler pszenicy rok rocznie?

— Tysiąc pięćset — brzmiała odpowiedź.

— To mało, bo zdatnego gruntu pod pszenicę przypada w Nikoresztach trzy tysiące faler na każdy rok.

— Ale, bojeru, drugie tysiąc pięćset idzie pod ugór.

— Po co? Przecież można z pięćset nawieźć, a na tysiącu siać rzepak lub kukurydzę.

— My tak nie robiliśmy nigdy; rzepaku nie sialiśmy wcale, a pod kukurydzę, jęczmień i owies mamy jeszcze sporo ziemi.

— To źle! Dlatego też ten Sabescu poszedł na dziady — i spojrzał z ukosa na stojącego w pokornej postawie oficyalistę. — Ja na dziady iść nie myślę i nie pójdę, muszę więc mieć trzy razy tyle, co poprzedni wasz dziedzic. Otóż uważ: całe trzy tysiące faler mają być zasiane pszenicą!

— Kiedy oziminy mamy tylko w polu ośmset dotychczas.

— Jakto ośmset? Przecież mi Sabescu mówił, że jest tysiąc pięćset.

— Mówił, mówił — powtarzał wolno zatrwożony Palej, widział bowiem rosnące rozdrażnienie pana, — ale cóż było począć, kiedy nie mieliśmy więcej zboża do siewu; ze spichrza pszenica została do ostatniego ziarna sprzedana, innej nie było za co kupić, gdyż pieniędzy nikt pożyczyć nie chciał.

— Tak, tak... to trudno... Musi być jednak zasiane przynajmniej dwa tysiące pięćset, rozumiesz?

— Rozumiem, bojeru!

— Mając więc ośmset faler ozimej, potrzebujemy jeszcze zasiać tysiąc siedmset pszenicą jarą.

— Kiedy jej nie ma!

— Co to nie ma... Kupić!

W tej chwili zauważył Tigranesa, który szybko szedł ku niemu. Palej patrzył na nadchodzącego Ormianina z pewnym rodzajem bojaźni.

Nie mógł się dotychczas z nim rozmówić dokładnie, bo Zacharyasz nie nauczył się dotąd miejscowej gwary rumuńsko-rusińskiej. Z początku zdawało mu się, że będzie można tego czarnego psa, jak go nazywał, w błąd wprowadzić nieraz, tymczasem omylił się, bo Tigranes nie tylko odrazu się zoryentował w sytuacyi i w warunkach miejscowych, ale trafił nawet na te ukryte nitki małych intryg folwarcznych, jakiemi rządca chciał otoczyć Ohanę.

— Czy tam interes jaki? — zapytał Owanes Zacharyasza po ormiańsku.

— Tak, panie! Ten architekt, co to ma pałac przerabiać, przyjechał właśnie z Odessy i chciał się z panem osobiście rozmówić.

— Niech zaczeka! Tymczasem zaś, proszę cię posłuchaj, co mi ten rabuś będzie opowiadał.

I ciągnął zaczętą rozmowę z Palejem.

— Więc trzeba kupić pszenicy i zasiać te tysiąc siedmset faler.

— Dobrze, bojeru. Ja kupię od Wiledorfa z Mohilowa, jeżeli pan każe.

— Nie, mój kochany, ja sam kupię, tobie zaś pszenica zostanie wydaną.

Palej się skrzywił lekko, jakby coś przełknął niesmacznego. Ohana zaś zwracając się do Tigranesa powiedział:

— Dowiesz się, proszę, jaka jest cena pszenicy jarej w Mohilowie i w okolicy, kupisz jak będzie można najtaniej, wydasz ją Palejowi do zasiewu i przypilnujesz, by ani ziarna nie ukradł.

— Rozumiem.

Palej wtrącił:

— Tylko, bojeru, tego zwlekać nie można, teraz pora najlepsza, siać czas wielki.

— Już się ty o to nie martw, ja nigdy nic nie odkładam. Jutro wieczorem pszenicę ci pan Tigranes wyda, a od środy masz ją zacząć siać. Zrozumiałeś?

— Tak, bojeru!

— A teraz, co do inwentarza. Przyglądam mu się i nie mogę wyjść z podziwu, jak wyście mogli orać w takie nędzne konie i woły. Toć one nie są w stanie wózka marnego pociągnąć.

— Nie było innych. Co lepsze musiałem sprzedać, bo domnule Sabescu żądał pieniędzy — odrzekł prędko Palej, przyzwyczajony już teraz każdy nieporządek zwalać na zbankrutowanego magnata.

— Tak, ale do was należało mu wytłómaczyć, że w psy i koty w polu się nie robi.

— To nie nasza rzecz, bojeru — odparł z lekką ironią w głosie rządca, — nasza rzecz była posełać pieniądze do Bukaresztu, lub do Odessy. Domnule Sabescu w to nie wchodził, zkąd one się brały, te krwawe karbowańce.

Ohana widział, że wobec takiej logiki próżne są dalsze gawędy na ów jałowy temat. Przerwał więc dalszą rozmowę pytaniem.

— Więc ile potrzeba koni, ile wołów? Wszystko musi być w porządku.

Palej zamyślił się, jakby coś kalkulując w głowie, a potem odrzekł:

— Koni zdałoby się z pięćdziesiąt co najmniej, wołów i krów ze sto.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Warszawa, w Sierpniu 1896 r.

Dzięki przedłużonym wakacyom młodzieży, wyludnione jeszcze miasto nasze do tej pory, a przy krótszym dniu jesiennym i nieustannych deszczach tegorocznych, szczególnie posępnie przedstawia się Warszawa. Na widowiskach pustki, kupcy drobni i więksi nastrojeni melancholijnie; w godzinach poobiednich daremnie ogląda się przykuty do bruku Warszawiak za jakąś bliżej znajomą jedną i drugą twarzą, i byłoby zupełnie nawet martwo w ogrodach i miejscach spacerowych, gdyby tych plantacyj naszych, powiedzmy grzecznie... nie ożywiała ludność Nalewek, Gęsich, Krochmalnych ulic, i innych najpowabniejszych dzielnic, wyjątkowo hojnie pod tym względem uposażonej Warszawy.

Tak jest, na przechadzkach semicki typ panujący na teraz u nas, a że sprawozdania z miejsc kuracyjnych i mieszkań letnich ciągle powtarzają, że i tam na owym pierwiastku sympatycznym nie zbywa bynajmniej, więc możemy mieć otuchę, że i nam i tamtym wystarczy, i że tej pomyślności przybywać nam będzie z rokiem każdym w takim stosunku, który nas co do losu dzieci i wnuków naszych zupełnie uspokajać powinien.

W prasie poważnej resztki martwego sezonu pozwalają przewidywać blizkie ożywienie, którego dosyć niecierpliwie wygląda publiczność czytająca — w prasie wojującej jeszcze echa „Puszczy Studzienieckiej," jeszcze od czasu do czasu strzał jakiś padnie z jednej lub drugiej strony, w codziennej byłby krach chyba zupełny, gdyby los nie był zesłał wielkiej doniosłości wypadku, który pozwalał na zapełnianie szpalt całych, i polemikę namiętną przez ciąg kilku dni, a wraz z przypomnieniami kilkunastu nawet może.

Miejscowi czytelnicy zrozumieją odrazu, że mówimy tu o *naszym* 300 to wiorstowym rekordzie; czytelnikowi dalszemu pragniemy wytłómaczyć, czem się zajęła, nie powiemy Warszawa sama, bo jej w ten sposób sądzić nie myślimy, ale czem uwagę tej biednej Warszawy usiłowało zaprzątnąć jej piśmiennictwo codzienne. Podkreślamy: *codzienne*, bo tygodniowe uporczywie odwracało się od podniesionej wrzawy, a humorystyczne nie po raz pierwszy bynajmniej przy tej sposobności, złożyło dowody zdrowego sądu i uczciwych intencyj, które na tych chochlików złośliwych nigdy się gniewać nie pozwalają. Ale codzienne... no! a już co do brukowych pism, to można im przyznać, że celebrowały na tej uroczystości.

Otóż, aby oddalony od Warszawy czytelnik wiedział także coś z tego, czem się tutaj zmuszeni są ludzie zajmować, przejmować i cieszyć, mamy sobie za obowiązek powiedzieć mu: Że trzydziestu kilku *panów* pojechało do Kielc na rowerach o 3-ej rano, i powróciło ztamtąd o godzinie 4, 5, 6 i t. d., po południu tego samego dnia — że było z tego powodu dużo radości u jednych, a dużo przygnębienia u drugich, że dzięki uprzejmej usłużności prasy miała Warszawa (tak się pisze i mówi) telegramy wywieszane co godzina z każdej stacyi, a podobno co pół godziny nawet — że co było namiętniejszego w mieście spieszyło na szosę radomską, aby powitać tryumfatora czy mistrza — że było tam przy tym powrocie dużo radości, zachwytów, objawów szowinizmu, wiele bardzo sporów, a jak słychać, obelg słownych i czynnych także niemało — że nakoniec potworzyły się stronnictwa, wyrodziła walka niby o... zasadę jakąś, i że dzięki temu, kto wziął przez tydzień jakiekolwiek pismo brukowe do ręki, ten oprócz tej jednej sprawy—oprócz terminów takich jak rekord, match, leder, finish i t. p., niczego więcej doczytać się tam nie mógł.

Bo też, ten finish to słowo nie lada, i jeżeli tego rodzaju objawów jak wymienione powyżej będzie w dalszym ciągu tyle co teraz, to nie z jednem u nas w krótkim czasie finish będzie zupełny.

A ze zdrowym sensem, przyzwoitością i zrozumieniem tego, co się godzi a co nie przystoi — przedewszystkiem. Gdyby się na ten finish nie zanosiło, przecież musiałyby raz zrozumieć pisma, pisemka i świstki rozmaite, że o żadnej zabawce, choćby nawet i rozumniejszej, tak długo, tak jednostajnie i tak namolnie ogółowi nad uszami klekotać nie wypada. Że większość ludzi normalnych co innego ma na myśli, i co innego w sercu, że od tego jest przecież jakieś tam specyalne pismo sportowe, i że pomawiać ogół myślący, zapracowany, troszczący się i cierpiący o studya nad tak nazwaną cyklistyką i przejmowanie się tym, jak go zwą dzisiaj cyklizmem, jest impertynencyą prawdziwą w dzisiejszych warunkach. Nie mówimy już o tem, że wysiłek potrzebny do przebieżenia 300 wiorst w 14 godzinach jest szaleństwem prawdziwem, i że podniecanie do niego przy pomocy zainteresowania jakie okazuje prasa, jest aktem wielkiej ze strony tej ostatniej niedojrzałości i nierozwagi w najlepszym razie.— Nie mówimy o tem wszystkiem, co z natury rzeczy tych 32 bohaterów i ich otoczenia wyłącznie dotyczy, ale zapyta w końcu znudzona publiczność, co jej potem — co jej do tego, i zkąd bierze assumpt prasa brukowa do pomawiania powszechności o udział w tem dziecińtwie całem, a choćby o jakąkolwiek dla niego uwagę i przychylność? Czy mało mają tej maskarady mieszkańcy naszego miasta, ile razy przyjdzie im się wychylić na ulicę, czy to nie dosyć, że musi ktoś nie pozbawiony zdrowego rozsądku koniecznie spotkać się w piśmie codziennem z wiadomością głoszącą o tem, że znalazło się aż 32 ludzi, którzy nie umieją niczem poważniejszem zająć myśli, a dla muskułów swoich odpowiedniejszego wyszukać ćwiczenia, jak ten wysiłek szalony — czy nie dość tego wszystkiego, żeby w tydzień jeszcze po hecy karkołomnej wyczytywać było potrzeba na jakim rowerze jechał który kantorzysta — czy był on amatorem, wołem najętym, albo czem innem nareszcie—czy nadużył albo nienadużył zaufania jednej firmy, biorąc pieniądze od drugiej, i jak się na takie postępowanie to albo inne pismo zapatruje?

Przecież czas wielki byłby domyśleć się, że na zabawach kantorowiczów i subiektów handlowych — na ich rozrywkach i upodobaniach społeczność taka jak ta nie poprzestawała nigdy i na przyszłość poprzestać nie może, że narzucanie jej tego ciągłe i nieustępne jest nieposzanowaniem jej, a przedewszystkiem, niezrozumieniem zupełnem.

Tak znowu uporczywie pluskać się po powierzchni życia społeczności, której się niby ma służyć, nie wolno piśmiennictwu żadnemu — tak nie umieć zajrzeć na dno jej potrzeb i wysiłków, a zastawiać przed zgłodniałym strawy umysłowej czytelnikiem zawsze tylko tę lichą i zawsze tę samą sieczkę sportową, jest nareszcie nieprzyzwoitością zupełną.

Nie idzie o to, żeby sobie ktoś lubiący jazdę na rowerze miał tej przyjemności odmawiać, ale z drugiej strony jeśli część przeważna publiczności nie oddająca się tej rozrywce nie myśli jej zaprzeczać nikomu, godziłoby się pomyśleć i o tych także, którzy tego samego zamiłowania nie mają, a którym z tego tytułu nie powinno się naprzykrzać włażeniem w drogę, od wschodu słońca do późnej nocy, na ulicy, w mieście, za miastem, w druku—wszędzie gdzie wolno i niewolno.

Ale niestety przyznać potrzeba ze smutkiem, że jest u nas taki brak wyrobienia towarzyskiego doprowadzający ludzi do nieposzanowania cudzej wolności, cudzych upodobań—i niedopuszczający tego na sprawiedliwości opartego poczucia, które nie pozwala mi ścieśniać praw człowieka, nie przykładającego się w niczem do ścieśniania moich.

Nie mówiąc już o ludziach, którzy, jak powiada Prus, noszą parasole wymierzone ostrym końcem w kierunku tego, który ma nieroztropność iść za nimi z tyłu, wiele jest — bardzo wiele codziennych przykładów takiego przekraczania granic dozwolonych jednostce, i takiego naruszenia praw, przysługujących innym. Kobieta, która kładzie na głowę piramidę, przeszkadzającą w teatrze widzieć cokolwiek siedzącym w drugim rzędzie po za nią — amator lub amatorka hodujący w domu pieska o przeraźliwym głosie, albo idący na przechadzkę z jaguarem, straszącym dorosłych i niedorosłych przechodniów — meloman, który przy dzisiejszych cienkich ścianach i sufitach domów, siada do fortepianu po dwunastej w nocy — czytelnik trzymający w cukierni jedno pismo przed oczyma, dwa inne pod pachami, a siedzący na jakichś jeszcze rezerwowych trzech lub czterech — reporter dziennikarski wycinający z gazety bez ceremonii w cukierniach lub czytelniach ustępy potrzebne, a z przeglądów karty całe—cyklista dzwoniący sobie swobodnie na każdego przechodnia idącego przed nim, pomimo, że ten przecież ani na niego dzwoni, żeby sobie poszedł do licha ciężkiego, ani żąda czegokolwiek dla siebie od takiego pana — nakoniec dziennikarz piszący o tym cykliście codzień jedną przynajmniej szpaltę, a przy dorocznych uroczystościach wypełniający nim pismo całe, z racyi, że jemu samemu ta zabawka po myśli, albo że się nie ma czem innem podzielić z czytelnikami swymi — wszystko to są okazy jednego i tego samego gatunku, który daj Boże, aby zaginął u nas jak najrychlej.

Reklamowanie sportu kołowego dochodzi wogóle do bezwstydu. Oto świeżo interwiewował niby Zolę jakiś pan, któremu romansopisarz francuzki miał wyznać, że zdaniem jego rower jest czynnikiem uspołeczniającym, że wytwarza on koleżeństwo i przyjaźń i że niewątpliwie przeznaczone są te dwa kółka, aby z czasem zmieniły postać świata.

Nie potrzeba udowadniać, że to jest kłamstwo bezczelne, ale dobrze byłoby wiedzieć, co mógł dostać taki pan interwiewer od fabryki rowerów za te kilka wyrazów. *A. S.*

NAD SIŁY.

NOWELA.

(Dokończenie.)

Z czasem pogłoski takie nabierały cech prawdopodobieństwa coraz większego. Widywano na ulicy pana Melchiora w towarzystwie jego córki, kiedy ta wychodziła z dzieciństwa, widywano go kiedy wkraczała w wiek panny dojrzałej; i dziecko i kobieta młoda miały zawsze wyraz swobody i szczęścia na twarzy, a oczy córki wpatrzone były zawsze z miłością w tę twarz z marmuru — w tę maskę nieprzystępną, jak się zdawało, żadnym uczuciom. Czy mogłoby tak być, gdyby pan Melchior był tem w domu, czem był dla urzędowego swego otoczenia?

Może być, że miały się tak rzeczy istotnie, ale w takim razie trzebaby w jakąś dwoistość natury ludzkiej uwierzyć koniecznie.

Pan Melchior wziął kartkę, tak jak mu podawano, zbliżył ją do oczu, odsunął od siebie, znowu zbliżył, wreszcie nie mogąc z niej nic wyczytać i wodząc błędnemi oczyma po obecnych, zwrócił ją jednemu z urzędników, który stał najbliżej, dodając głosem ochrypłym, jak gdyby ze ściśniętej krtani wychodzącym.

— Daruj pan, nie wiem nic... coś mi chyba wzrok przysłania... zresztą co to wszystko ma znaczyć i czego odemnie żądacie?

Ten, który odebrawszy depeszę podał ją zawiadowcy stacyi, zauważył że pismo trzymane było na wywrót, i dlatego spojrzawszy raz jeszcze w wykrzywioną przerażeniem twarz starca, uznał za stosowne szepnąć zwierzchnikowi.

— Zdaje mi się, że temu człowiekowi całej prawdy tak odrazu wyjawić nie można. Wszak on jest jak gdyby wpółprzytomny. Jeżeli nie ma tutaj żadnego nieporozumienia, i jeśli to istotnie ojciec ofiary...

— Dobry pan sobie jesteś! Właśnie dlatego że jest ojcem, powinien o nieszczęściu dowiedzieć się pierwszy. Do kogóż to ma należeć jeśli nie do niego? W omówienia z człowiekiem dojrzałym bawić się przecież nie będę, bo to rzecz nie moja, a tutaj też nie jest gabinet lekarza chorób nerwowych, tylko miejsce urzędowe.

— A gdyby on tę wiadomość miał przyjąć.. alboż ja wiem wreszcie, perswadował pomocnik, który z dziwnem współczuciem spoglądał w tę twarz pobladłą, odbijającą co chwila inny proces myśli i odmienną fazę walki wewnętrznej.

— A więc bardzo dobrze, radźcież sobie z nim jak wola wasza. Ja odchodzę. Sprowadźcie mu lekarza, sprowadźcie kogo chcecie; nie mieszam się w to zupełnie.

To mówiąc opuścił kancelaryą, nakładając z akcentem znudzenia swoje czerwone kepi, i zostawiając kilku ludzi młodych dobrej woli, którzy istotnie nie śmieli rzucić w oczy przygniecionemu wiekiem starcowi, całym ogromem jego niedoli. Jakoż jeden z nich pobiegł obejrzeć się za lekarzem, który w tej właśnie godzinie przychodził do miejscowego ambulatoryum, inni pod wpływem pognębiającego wrażenia wysunęli się do sali sąsiedniej, a został ze starcem tylko ten jego protektor, który, o tyle o ile czas pozwalał, chciał koniecznie przygotować biedaka do tego, co mu w tych lub innych wyrazach—w tej lub innej formie bądź co-bądź powiedzieć było potrzeba.

On tymczasem stał oparty plecami o ścianę, wzrok skierowany miał w sufit, nie zdawało się przytem aby dostrzegał to wyjście ludzi, ich poprzednie szepty przyciszone i narady tajemnicze. Co przeczuwał—z jakim duchem rozmawiał — jakie odgłosy nieznanego gromu tętniały mu pod czaszką — kto odgadnąć potrafi?

— Panie — odezwał się miękkim głosem, zastępca zawiadowcy, dotykając ramienia starca,— możeby pan spoczął—i przy tych słowach przysunął fotel.

— Spoczął? Powiedziałeś pan? Dlaczego spoczął? Po co ja mam spocząć? Po co mnie zawołaliście tutaj? Ach, tak! — odezwał się nagle, jak gdyby sobie coś przypominał,— daliście mi kartkę jakąś do czytania. Ja nie przeczytałem, bo tam na niej zdaje się nic nie było napisane. Co to wszystko jest? Powiedz pan jeżeli wiesz, ale ty chyba wiedzieć musisz, bo wszak to pan sprowadziłeś mię tutaj. Jakże pan czy nie pan?

— Tak, to ja. Widzi pan — zaczął teraz z wysiłkiem młody człowiek, czując do jak ciężkiego zabiera się zadania, — sprowadziłem pana, bo zdarzył się na pociągu wypadek. My w takich razach wypytujemy osoby, które miały kogoś znajomego między pasażerami i dlatego wiedząc, że pan odprowadzałeś córkę, chcieliśmy dowiedzieć się jej nazwiska.

— Wypadek powiadasz? jaki wypadek? Komu? mówże na Boga, a mów wszystko. Pociąg się rozbił... zabici... ranni. Boże litościwy! Kto teraz dowie się?... jakim sposobem dostać się do niej?

Zerwał się z fotela, zagłębiając ręce w resztki siwych włosów i gorączkowo znowu przemierzać zaczął pokój, wymawiając urywane słowa, których tamten zrozumieć nie mógł. Było to, jak się zdawało bez związku między sobą, ale w każdym razie musiało odpowiadać jego myślom, trwogom i wątpliwościom.

Kilka razy próbował zatrzymać go w tej bieganinie urzędnik; chciał zwrócić na siebie jego uwagę. Daremne było wszystko; chodził ciągle wzdłuż i wszerz, ocierał uznojone czoło, kilka razy przeżegnał się, a zresztą poruszały się wargi jego szeptem tajemniczym. Czy modlił się, czy przerabiając ewentualności wszystkie oddawał mimo wiedzy i woli głosem część myśli tętniących mu w duszy — nie wiadomo było.

W sąsiednim pokoju przez ten czas znalazł się sprowadzony lekarz, i oto jaka się między nim i zebranymi urzędnikami zawiązała rozmowa dotycząca zaszłego przed pół godziną wypadku.

— Więc to wiadomość pewna?

— Najpewniejsza. Jest przecież telegram z P.

— Pokażcież ten telegram.

Treść dokumentu nie była obszerna. W niewielu wyrazach obwieszczał on dramat prawdziwy, a dla tego kogo dotyczył mógł być ciosem ostatecznym nawet. Oto te kilka wyrazów:

„Śmierć natychmiastowa kobiety. Z bezładnych odpowiedzi mężczyzny dowiedzieliśmy się tyle tylko, że dzisiaj rano pobrało się tych dwoje ludzi. Kto oni są — jakie ich nazwisko, nie wiadomo, bo on nie jest w stanie objaśnić. Jeśli ma przy sobie dokumenta, przyszlemy nazwisko niezwłocznie."

— No dobrze, to jest jedno, ale zkądże śmierć?

— Ach tak, my nie daliśmy doktorowi żadnych szczegółów. Rzeczy miały się tak: Tych dwoje nieszczęśliwych po dzisiejszym ślubie wyjeżdżało pociągiem popołudniowym. Odprowadzał ich ten oto starowina, który siedzi w tamtym pokoju pod opieką naszego kolegi. Pożegnali się ze sobą, pociąg ruszył i nie upłynęło pięciu minut, przybiega do nas dozorca pierwszej zwrotnicy i opowiada, że młoda pani wychyliła się z wagonu za kimś zapewne, bo widział ją przedtem jak kiwała chustką, tymczasem pociąg mijał pompę no... i stało się nieszczęście...

— Nic nie rozumiem.

— Głowa uderzyła o pompę, no i naturalnie musiała się roztrzaskać, przecież to w tem miejscu pociąg nabiera szybkości prawie normalnej.

— Bójcież wy się Boga! Więc ta pompa stoi tak blizko... Ależ to niepodobieństwo... to są straszne rzeczy. Jak zarząd pozwolić mógł na podobne nieszczęście? Czy były już jakie wypadki?

— Wypadków w ścisłem znaczeniu tego słowa nie było; były właściwie mówiąc ostrzeżenia tylko. Kilku ludziom zerwała kapelusze z głowy, podmaszynistę pociągu manewrującego uderzyła pompa w głowę dosyć nieszkodliwie, bo to było przy ruchu bardzo powolnym, ale nieszczęście zdarzyło się po raz pierwszy dzisiaj.

— To bardzo dziwne, że dopiero dzisiaj. W każdym razie przyczyni się to do waszej sławy i wierzajcie mi, że co do mnie, zrobię wszystko co będzie w moich siłach, żeby temu faktowi nadać rozgłos możliwy.

— Ale że to wy po tych, jak je nazywacie ostrzeżeniach, usnęliście sobie na oba uszy i czekali na trupa koniecznie. Niechże was! Doprawdy, wierzyć się nie chce. Powiedzcież mi dlaczego czekaliście, dlaczego nie przestawiliście tego dyabła jakiegoś dalej od plantu?

— No... w każdym razie wymagało to pewnego zachodu, należało odsunąć pompę, przedłużyć ramię ruchome, przez które woda idzie na parowóz... zawsze to jest zachód, i dlatego poszła w odwłokę rzecz cała.

— Tak. To już teraz usprawiedliwieni jesteście zupełnie. Jak tylko miał być ambaras jakiś, a jeszcze koszta, to już narażenie życia człowieka jest przecie drobnym względem. Ale dzisiaj za to wolno wam powinszować sobie. Powiedzcież zresztą, czy tam na miejscu jest ślad jaki?

— Tam — niewielki; znak krwawy na pompie jest wyraźny, a wreszcie my tu mamy dowód.— To mówiąc poprowadził doktora ku oknu i odkrywszy sukno zielone ukazał mu kapelusz jasny kobiecy, a przy nim szmat skóry okrwawionej wraz z włosami jasno blond, wyrwanymi razem z tą skórą.

— Zapewne — szepnął doktór nakrywając suknem te smutne dowody rzeczowe. — Po takiem uderzeniu... a wreszcie tam na miejscu musi być coś więcej; wasz zwrotniczy nie zauważył, a może pilno mu było z tą wiadomością, więc chwycił co było pod ręką i spieszył do was. Tak... to się musiało skończyć na miejscu.. No a teraz, czego chcieliście odemnie? Jeśli szło wam o sławę, to już złożyłem wam i uznanie i gratulacye moje. Pozwolicie mi więc chyba odejść?

— Ależ nie... broń Boże! Tu jest przecież ojciec tej nieszczęśliwej.

— Zkądże znaleźliście ojca tak odrazu? Doprawdy wam się wszystko dziwnie powodzi. I zapewne chcecie wyręczyć się mną i zwiastować mu radosną wiadomość przez moje usta, bo wam własna skromność na to nie pozwala, co jest bardzo chwalebnem z waszej strony.

— Jużciż my coś niecoś, powiedzieliśmy już temu biedakowi; kolega, który jest tam z nim razem, objaśnił go, że był wypadek na pociągu, dał mu do zrozumienia, że idzie o jego córkę, ale na pierwsze zaraz napomknięcie wpadł w taki stan szczególny, że się od niego nic dowiedzieć nie było można potem, a i on sam nie zdaje się rozumieć tego co się do niego mówi. Pojmuje doktór, że nie chcieliśmy brać na siebie odpowiedzialności. Człowiek stary, a nużby..

— Oszalał, albo uległ atakowi paralitycznemu?... Z serca życzyłbym mu jednego albo drugiego, tak jak wam wszystkim zbiorowo życzę, żeby was dyabli porwali za waszą dbałość o życie ludzkie, i za wasz system oszczędnościowy. No prowadźcież mnie do niego... albo zaczekajcie, lepiej będzie wprowadzić go tutaj, a wy sobie pójdźcie do licha. Przypatrzę mu się... zobaczę...

Już wychodzili, kiedy ich doktór wrócił ode drzwi i z wyrazem refleksyi w twarzy zapytał wolno a dobitnie:

— Jeszcze jedno! A czy wy zupełnie pewni jesteście swojego? Bo tu idzie raz o sam fakt, który wydaje się prawie stwierdzonym, jeśli zestawimy depeszę z dowodem rzeczowym, ale idzie jeszcze i o drugą rzecz, a mianowicie: czy nie będzie tu jakiego „qui pro quo.”

— Jakie „qui pro quo?” Przecież tu nie ma cienia wątpliwości. Jakim sposobem?

— No dobrze, dobrze. Skoro zapewniacie, skoro wszystko takie niewątpliwe. Co do mnie, pamiętajcie, że ja mam tego człowieka zobaczyć po raz pierwszy w życiu.

Stało się jak rozporządził.

* * *

W kwadrans potem otwierał doktór drzwi do kancelaryi zawiadowcy i wzywał tego, który pilnował starca. Pozostawiwszy go na straży nieszczęśliwego, usiadł sam naprzeciwko naczelnika stacyi, który tu przyszedł podczas jego nieobecności, i zamyślił się oparłszy głowę na rękach.

— No i cóż, doktorze? — pytali wszyscy.

— A cóż ma być? Wiele z tego co ja mówiłem on nie zrozumiał, ale miał dosyć tego coście mu powiedzieli wy, a czego mu tam jeszcze brak było, to zrobił ten wasz dowód materyalny. Tak. Teraz już on wie chyba wszystko.

— I jakże z nim?

— Jak? Nie dobrze. Człowiek stary... chociaż kompleksya wyjątkowo zdaje się silna. Symptomata chwilowe za to wcale nie pomyślnie wróżą. Tak! wrażenie musiało być gwałtowne bardzo.

— I co będzie doktorze? Co będzie?

— Zabiera się na proces cerebralny, o ile przewidywać wolno—ostry bardzo.

— To już pewne, niechybne?

— Prawie.

— Co z nim zrobić?

— Odwieźć do szpitala jak najprędzej. W takich razach pośpiech nie jest bez znaczenia.

— A możeby do domu?

— Alboż wiecie gdzie jego dom, czy ma wogóle dom jakikolwiek, wreszcie kim on jest...

— Możeby się można dowiedzieć czegoś jeszcze.

— Chyba od kogoś z tych co go znają; on sam nie powie wam nic o sobie teraz.

— Nieprzytomny?

— Zupełnie.

. . . .

Kiedy ruszała z przed dworca dorożka do szpitala Ś-go Rocha z panem Melchiorem i jego towarzyszem, dzwonić zaczynał w najlepsze telegraf zarządu, przynosząc dane szczegółowe zupełnie o osobie ofiary nieszczęśliwego wypadku.

Co zwiastowały teraz znowu te wiadomości?

Dla jednych cios bolesny — dla tego, któremu wrócić one mogły życie i szczęście, z woli Opatrzności było tym razem.. za późno!

. . . .

Co się stało? Czy była ofiara? Kogo los wybrał sobie z pomiędzy dwóch tysięcy blizko pasażerów pociągu?

Ofiarą była istotnie młoda, dzisiaj zaślubiona kobieta, ale ta nieszczęśliwą córką pana Melchiora nie była wcale.

Po głowę tamtej drugiej wyciągnęło mściwą rękę tajemnicze fatum, które poplątało rozum ludzi, aby liczbę nieszczęśliwych podwoić.

Stała się rzecz dziwna — szczególna — prawie, że niepodobna do prawdy.

O tamtej świetnej, bogatej parze młodych ludzi zapomnieli chwilowo wszyscy, i wszyscy w niepojętem zaślepieniu czepili się tego oczekującego starca, wydobyli z niego to co im się zdawało niechybnem, pewnem, nie podlegającem wątpliwości na jego zgubę.

Dzięki tej fatalnej pomyłce uległ nieszczęśliwy porażeniu mózgowemu, z którego wyszedł wprawdzie po paru tygodniach, ale zdruzgotanej władzy myślenia nie odzyskał już nigdy.

Nawet widok córki nie oddziałał na niego; zdawało się, że ją poznaje, ale jasnego pojęcia o tem, że to jest ona—istota żyjąca—to samo jego dziecko jedyne a ukochane tak gorąco, wyrobić sobie nie był w stanie.

Do samowiedzy nie przyszedł, a więc i tego pewnika stwierdzić nie mógł, że ma jednakże to życie boleści „nad siły” ludzkie.

α.

Dwa gimnazya żeńskie.

Komunikowaliśmy już w roku bieżącym czytelnikom naszym wiadomość o zatwierdzeniu pierwszego w Galicyi gimnazyum żeńskiego. Inicyatorami tej arcyważnej sprawy byli profesorowie: Napoleon Cybulski i doktór Bronisław Trzaskowski. Oni pierwsi podali myśl i za ich staraniem zorganizowało się stowarzyszenie popierania średniego wykształcenia kobiet w Galicyi, a zadaniem jest przedewszystkiem dostarczenie środków materyalnych, na których ma się opierać ta powstająca instytucya.

Obecnie donoszą pisma galicyjski o otwarciu gimnazyum w Krakowie, którego nauczycielami są dotąd mężczyźni sami, a przełożoną pani Dą-

browska. Poświęcenia szkoły dopełnił kanonik katedralny doktór Spiss, profesor uniwersytetu. Pierwsza klasa odpowiadać ma trzeciej klassie gimnazyalnej męzkiej z wyjątkiem łaciny, która wykładaną będzie wedle kursu klassy I gimnazyum męzkiego.

Niemcy, które na polu wyższego wykształcenia kobiety stawiają pierwsze dopiero kroki, ogłaszają sprawozdanie z ich jedynego gimnazyum, założonego przed trzema laty niejako sposobem próby w Carlsruhe w Badeńskiem. Sprawozdanie brzmi ze wszelkich względów zadawalniająco. Dotychczasowe trzy klassy gimnazyum, które się tu nazywają: Unterterzia, Obertertia i Untersecunda, wykazały jako rezultat postęp naukowy bardzo pomyślny, przy wybornym rozwoju strony fizycznej wychowanic. Ostatni ten wzgląd jest przedmiotem wielkiej baczności ze strony zwierzchności pedagogicznej.

We Wrześniu r. b. otwiera się tak nazywana tutaj obersecunda, odpowiadająca naszej klassie czwartej, tak że pierwsze uczennice opatrzone patentem dojrzałości opuszczą gimnazyum w roku 1899-ym. Opłata szkolna w Carlsruhe wynosi rocznie 150 marek.

Tak więc i w Niemczech i w Austryi, jak to na przykładzie krakowskiego gimnazyum widzimy, gimnazya uprzedzają przypuszczenie faktyczne kobiety do studyów uniwersyteckich.

Nie należy zatem zrażać się wstępnemi formalnościami i pozornem zamąceniem tej sprawy, ani utrudnieniami na jakie natrafia kobieta pragnąca wstąpić na uniwersytet. Tu i tam rzecz musi być rozstrzygniętą w zasadzie na korzyść uniwersyteckiego wykształcenia w przyszłości, w przeciwnym razie trudno byłoby pojąć myśli zakładania gimnazyów żeńskich, których inaczej jak za szczebel do wyższego ukształcenia uważać nie można. *T. M.*

NIOBE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

Jonasa Lie.

Nie różowych barw używają powieściopisarze norwegscy do odmalowania młodej społeczności swojej.

Stary obyczaj, dawna rodzina, zasady któremi się rządzili ludzie ustępujący z pola—to wszystko wyszydzone, skrytykowane, odsądzone, schodzi tragicznie, zapada się w otchłań, ginie bez echa żalu i współczucia młodych. Spojrzyjmy na pokolenie nowe takie, jakiem przedstawia je autor „Niobe" — utworu o którym nie wolno nam powiedzieć, czy odbija w sobie wiernie ducha i kierunki epoki, czy jest bolesnym krzykiem i protestem sprawiedliwym, czy wytworem rozgoryczonego pessymizmu tylko. Nie znamy tej społeczności, niechże za wierność reprodukcyi życia młodych w tym narodzie odpowiada autor sam. W każdym razie talent jego niezaprzeczony będzie mu chyba obrońcą bardzo wymownym.

Związek małżeński prowincyonalnego lekarza Barwiga i jego żony Benty pobłogosławiła Opatrzność sześciorgiem dzieci.

Rodzice, to ludzie szlachetni, czyści życiem, silni pracą i miłością wzajemną, oddani obowiązkowi dosyć szeroko pojętemu. Bez winy nie są bo z dwóch synów najstarszych, jeden Kel jest faworytem ojca, drugi Andrzej ulubieńcem matki. To już stanowi samo przez się grzech niepośledni.

Dorastająca córeczka Mina oczkiem w głowie u obojga; Berta to podlotek dopiero, a najmłodsi: Arnt i Massi są dziećmi jeszcze, które kształci w domu uczony Szulteiss, nauczyciel, rodzaj Quasimoda urodą, zresztą człowiek zacny, światły, zakochany duchem i nieduchem w swojej exuczennicy Minie, w której widzi gwiazdę — geniusz i chwałę przyszłą domu.

Andrzej kształci się na duchownego w uniwersytecie, ale w niedługim czasie donosi rodzicom, że to nie jego droga; teraz dopiero się opatrzył, że filologia stanowi jego powołanie. Póki szło o zmianę teologii na naukę języków zmarłych, nie protestował tak bardzo doktór Barwig, ale niebawem zawiadamia Andrzej, że i teologia i filologia to były tylko obrzydłe więzy dla jego ducha, bo on teraz dopiero trafił na swoje. Miłuje sztukę po nad wszystko, a jego tenor zapewni mu sławę i miliony. To się już o wiele mniej podoba ojcu; syn tenor nie jest ideałem dla starego lekarza, ale matka broni go uporczywie, i gdy ojciec odmawia funduszu na dalszy pobyt w mieście, ona poświęca swój skromny posag, byle tylko ukochane dziecko mogło pójść za głosem przekonania.

Chociażbyśmy nie chcieli wyprzedzać wypadków, musimy, i aby raz skończyć z tym Andrzejem, opowiemy dalsze jego koleje. Marzenia jego o dostaniu się do opery nie są bynajmniej ostatecznemi, ideał śpiewaka w wielkim stylu zmienia się w zachciankę tryumfów operetkowych, jako zgodniejszych z duchem czasu. Potem chybiony tenor przerzuca się do dramatu, a nakoniec daje za wygraną wszystkiemu, i zostaje wykolejonym szaleńcem, którym był od początku—pyszałkiem, który umiał wszystko, skrytykować i poniżyć, ale dokonać niczego nie umiał. Nie szczędzi on przez cały ciąg surowej krytyki rodzicom, i ze szczególnem zamiłowaniem zajmuje się analizą swojej indywidualności. Jako typ — wyborny.

Matka tedy jak widzimy, dosyć nieszczęśliwie ulokowała swoje uczucia, ale i ojcu nie lepiej się powiodło. Jego faworyt Kel ma to być niby człowiek czynu — praktyczny, rzutki, przedsiębiorczy, tymczasem ta rzutkość ogranicza się do wyrafinowanego eksploatowania ojcowskiej kieszeni, a przedsiębiorczość do zaciągania zobowiązań nad sens i możność, któremi obarcza do czasu tego ojca słabego a nakoniec swoim hazardem doprowadza nieszczęśliwego starca do pokłócenia się z przeszłością własną, zaprzeczenia najfundamentalniejszym zasadom, i dopuszczenia się w końcu uczynku, którego poczucie honoru przeżyć mu nie pozwala.

W toku powieści żeni się Kel z niejaką Teklą Feiring guwernantką, typową kobietką przyszłości, której nie schodzi z ust urągliwa krytyka wszystkiego co było, która ubolewa, że stare wstecznictwo każdy związek duchowy między mężczyzną a kobietą ślinia niecnemi podejrzeniami, a tymczasem sama już, jako mężatka i matka zawiązuje blizką znajomość z doktorem Stevigiem, rozpoczyna od pracy nad reformą wychowania, a kończy stosunkiem o wiele bliższym niżten, na który obcowanie duchowe pozwala.

I ci dwoje małżonków niemiłosiernie obchodzą się ze wszystkimi zapleśniałymi przesądami, i chociaż odmienni zupełnie, warci są siebie nawzajem.

Minka, nieletnia emancypantka, po za wiadomością ojca, matki i nauczyciela pisuje do postępowego organu: „XX-te stulecie" artykuliki o wyjarzmieniu kobiety, a dokońca swojej edukacyi na pierwszej dalekiej wycieczce górskiej, na którą się puszcza w towarzystwie ludzi młodych płci obojga, pomimo że biedni staruszkowie tak miłosiernie ją proszą, aby się wyrzekła tej wycieczki i tego towarzystwa.

Tam też zawiązuje pierwszy stosunek z inżynierem-okultystą, z którym później po wielu przejściach wyjeżdża do Ameryki jako medyum. Ponieważ oboje są ludźmi moralności niezależnej, więc nie będzie się nikt dziwił, że w kłopotach poprzedzających tę podróż daleką, zaniedbali dopełnienia przedwstępnych formalności, któremi stare wstecznictwo zwykło legalizować stosunek dwojga osób, udających się na spacer kilkoletni.

Gdy i córka Berta nie o wiele lepiej sobą rozporządza, wydaje się ten dział rodzicielskiej niedoli nadmiernym dla biednej matki, która kończy tak jak skończył jej mąż.

Żałować trzeba dwojga staruszków w każdym razie, ale nie można się oprzeć wrażeniu, że bądź-co-bądź byli oni do pewnego stopnia twórcami losu własnego i dzieci swoich. Zbyt łatwo dawali im się przekonywać o wymaganiach jakiegoś niby ducha czasu, zbyt mało wierzyli w siłę i świętość zasad, które ich prowadziły przez drogę własnego życia nieodstępnie, zanim zaczęli ufać więcej dzieciom niż samym sobie. Szli od ustępstwa do ustępstwa i doszli oczywiście tam, zkąd nie ma powrotu.

Obraz cały jak gdyby przeznaczony na stwierdzenie tego, że nietylko Francya utyskuje na to co się dzisiaj w tym kraju określa przez stosunek rodzinny, w którym widzi się tylko zbuntowane dzieci i rodziców winowajców: („enfants revoltés et parents coupables.")

Sens moralny: Nie ma głupszej jednostki ludzkiej od tej, która znaczy pierwsze kroki swoje na świecie ryczałtowem potępieniem przeszłości, ani marniejszego pokolenia jak to, któremu się uwidzi, że ono rozpoczyna wszystko, a to co po za niem to nicość, ciemnota i przesądy.

Książkę polecić można szczerze starym i młodym zarówno. Pierwsi znajdą tam ważne dla siebie ostrzeżenia, drugim przydać się ona powinna bardzo. Dlaczego powinna? — niechaj im odpowie ich sumienie własne.

S.

Nasi najmłodsi.

(Ciąg dalszy)

III.

„Szafiru w oknie szmat i gwiazd srebrzyste [ćwieki,
Przestrzeni wielki wiew świeżości wpada falą,
Gdzieś w głębi widma drzew, światełka w mgle [się palą,
I jak wód głuchy spad, Paryża gwar daleki.

A wewnątrz młody świat, rytm wierszy, szkiców [teki,
Za ścianą skrzypiec zew, struny się tęsknie [żalą,
I rzewny, szkocki śpiew, w którym się łzy kry- [sztalą,
Żar dysput, śmiechu kwiat, szał rozmarzenia [lekki,

. . . .

Oto ramy, z których najwydatniej występuje jedna z najoryginalniejszych postaci, zasiadających dzisiaj urwiste zręby naszego Parnasu.

Gwar wielkiej stolicy, ogniskującej w sobie prądy umysłowe świata całego, atmosfera artystyczna, którą tylko wielkie zbiorniki cywilizacyi wytwarzają z łatwością, są to żywioły dla rozwoju zbudzonej już indywidualności twórczej w wysokim stopniu przyjazne. Duch ptak z takich szczytów cywilizacyjnych, jak orzeł z iglic górskich zrywa się do lotów śmiałych, w bezgranicza dalekie. Talent w atmosferze takiej rośnie w siłę, potężnieje. Ale zdobywa też zarazem jakiś charakter egzotyczny.

Wchłaniane chciwie pierwiastki kosmopolityczne nadają mu zabarwienie, którego nie pozbywa się łatwo, czasem nigdy.

Takim kwiatem egzotycznym, barwnym i błyszczącym jest dla nas twórczość Miriama (Zenona Przesmyckiego). By postać poety tego zrozumieć, i właściwe jej miejsce w piśmiennictwie naszem naznaczyć, nie trzeba zapominać o ramach, w których ukazała nam się na początku, o tym kosmopolitycznym świecie młodych artystów, których dysputom, pieśniom, śmiechom, porywom wyobraźni towarzyszył głuchym wtórem „Paryża gwar daleki."

Już w umieszczonym na pierwszym planie naszego szkicu fragmencie daje się poznać Miriam jako pierwszorzędny mistrz formy. Jest nim istotnie w każdym, niemal najdrobniejszym ustępie, który z pod pióra jego wyszedł kiedykolwiek. Jego sonety, cantyleny, canzony, romanze ronda to klejnoty z kamieni drogocennych misternie budowane, to kamee, w których drobnym, chłodnym, kamiennym kształcie zaklęty, lśni duch piękna. Nietylko mistrzem jest Miriam, ale i miłośnikiem tych form wyszukanych, wykwintnych, a dotąd obcych prawie poezyj naszej.

Przypatrzmy się, jak wygląda ulubione mu rondo.

„Rondo jak brylant pod słońcem błyska
Jak święta Grala z opalu miska,
Tęcz, barw i świateł mieni się zorzą,
A nie jest piewcy ciężką obrożą,
Lecz płodem tajnych mocy igrzyska.

Rzucam rym nakształt greckiego dyska,
Sam wraca, w myśli gwałtem się wciska,
Składa się w strofy, a strofy tworzą
Rondo.

Eolska gędźba! dla dum kołyska!
Cóż mi symplistów urągowiska!
W krągłe kielichy kwiaty się mnożą,
Kolisto usta w całus się złożą,
Kolistym rytmem samo wytryska
Rondo."

Czy kiedy czytacie to *Rondo*, nie ukazuje się oczom waszym wąż dyamentowy, czy nie widzicie, jak zwija i rozwija iskrzące skręty i blaskami swymi urąga szarej powszedniości bytu? Obok tego drogocennego klejnotu godzi się postawić tylko ową „urnę helleńską," czy „czarę Benwenuta kutą w ametyście," znany czytelnikom „Tygodnika" *Sonet* Miriama, albo taką czystej wody perełkę jak *W pamiętniku*, sonet w trzech częściach:

Dziś

„Za pełny woni, świeżości kwiat
Perełki rymów, na rytmów sznury,
Nawlekam chętnie, na życia chmury
Słoneczność pieśni rzucam rad.

Po latach.

Minęły lata, dziesiątki lat,
Kwiat miał czas uschnąć raz nie wiem który,
A moich liter zbladły kontury
I rozwiał wiatr przeszłości ślad.

W wieczności.

Kwiat schnie, lecz żyje wieczyście woń
I błądzi smętnie przez światów toń,
Pismo się starło — melodya słodka

Krąży w przestrzeniach jak widmo pieśni,
Gdy jedna z drugą wreszcie się spotka,
Dziś może lepiej się ucieleśni."

Tych kilka wyjątków daje czytelnikom pojęcie o wysokiej wartości artystycznej prac Miriama. Jest to arystokrata formy, gardzący wszystkiem, co mierne, powszednie, pospolite, dla natchnień swoich szukający egzotycznych sukienek, nowych form wiersza, rymów wyrafinowanych, rytmów o niezwykłym dźwięku, rozkochany w doskonałościach mowy.

Porównałam twórczość Miriama do barwnego, egzotycznego kwiatu, tu dodać trzeba, że wyobrażam ją sobie jako kwiat zamknięty w migotliwej bryle kryształu, duch skuty w więzy formy tak wyszukanej i doskonałej, że przewaga znajduje się stanowczo po jej stronie. Czyni to Miriama wśród współczesnych i dawniejszych poetów naszych, zjawiskiem zupełnie wyjątkowem. W poezyi naszej, mówiąc ogólnie, duch rozsadza formę, nagina ją stosownie do swoich wzlotów i spadków, urabia podług własnych wahań i porywów. A widzimy to nie u pisarzy drugorzędnych, nie u nieudolnych bynajmniej; uderza nas to w rzeczach, które za „przedziwności języka polskiego" uznano.

I nie jest to objaw przypadkowy, lecz zostający w harmonii zupełnej z charakterystyką ogólną naszego plemienia.

Miriam, u którego polot ducha krępują cudowne kryształy formy, stoi na uboczu samotny, nie dający się z nikim porównać. Czy przyczyn odrębności tej szukać należy we wpływach Zachodu, czy też tkwią one w głębinach organizacyi artystycznej poety, jest na tę chwilę pytaniem bardzo trudnem do rozstrzygnięcia. Kiedyś może przyszłość odpowie na nie.

Poświęciwszy tak wiele miejsca zewnętrznej szacie utworów Miriama, zajmijmy się nieco ich treścią.

Wobec arystokratycznego upodobania poety w wyrafinowanych pięknościach formy, wobec wyraźnego wstrętu do wszystkiego, co proste, zwykłe, pospolite, należałoby spodziewać się jakiegoś *nitscheanizmu* w myślach, w poglądach jego. Z niczem podobnem nie spotkamy się u Miriama. Misternie cyzelowane czary swoje wypełnia on niejednokrotnie winem marzeń o wieku złotym, w którym miłość pojedna słabych i silnych, pobrata ludy i jednostki.

„Oto tuli w ramiona
Chłopek pana, dla pana,
Święta chłopska sukmana i t. d."

H. C.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Odpowiedzi od redakcyi.

Prenumeratorce G. z Krasnego stawu. List szanownej pani zakomunikowaliśmy autorce.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

M-lle de MOYSARD

SUKNIE, KOSTYUMY TAILLEUR, AMAZONKI, *HORTENSYA 7.*

48813

Magazyn Bielizny, Ś-to Krzyzka 20,

JULII JACKOWSKIEJ

48914

poleca w wielkim wyborze po cenach umiarkowanych **bieliznę: męzką, damską, dziecinną, bluzki, batysty, kretony, prześcieradła i ręczniki kąpielowe.** Przyjmuje koszule do wstawiania: gorsów, kołnierzy, mankietów.

NOWOŚĆ! Ważne dla Pań!

Wykwalifikowany majster cechowy zawsze powodujący się sposobami paryskiemi, na podstawach długoletniej praktyki i doświadczeń, wyuczam pięknego kroju zupełnie prostym poglądowym sposobem, na własnego wynalazku figurach i tablicach, z zastosowaniem kroju systemów Francuzkiego, Angielskiego i Wiedeńskiego. Przystępny wykład rozmaitych odmian figur, pasowania staników, amazonek, okryć i t. p. objaśnień **najdokładniej wyu.zam w przeciągu miesiąca.** System mój tak ułatwiony, nieznany dotąd ani w kraju, ani za granicą.

Warszawa, Nowy-Świat Nr 9. *E. STAWENO.*

48716

Biuro Nauczycielskie

JADWIGI JAHOŁKOWSKIEJ

Nauczycielki 2-go Gimnazyum, Warszawa, ul. WSPÓLNA Nr 40, tamże Zakład froeblowski **L. Jahołkowskiej.** 48426

Zakład Naukowy Żeński 6-cio klasowy

STANISŁAWY ŁAPIŃSKIEJ

W WARSZAWIE,

Krakowskie-Przedmieście Nr 2.

(Wprost Kopernika).

Przyjmuje uczennice na przychodnie, półpensyonarki i pensyonarki stałe. Warunki przystępne. Po za obowiązującym programem nauk szkolnych, kładzie się nacisk na krój, roboty ręczne, konwersacyę w obcych językach, oraz dobre wychowanie, w najwyższem znaczeniu tego słowa. Gimnastyka, muzyka, śpiew, tańce bez oddzielnej opłaty od pensyonarek. Zapis i egzamin nowowstępujących uczennic odbywa się codziennie. Rok szkolny zaczyna się 5 Września.

Froeblowskie kursa Zakład Jadwigi Chrząszczewskiej

48322 ***Nowy-Swiat Nr 21.***

Przyjmuje przychodnie pensyonarki. Konwersacya francuzka. Cena przystępna.

!WYPRZEDAŻ!

pozostałych towarów z Magazynu

E. LOTH

jako to: Kapeluszy letnich i filcowych damskich i dziecinnych, oraz męzkich wyłącznie słomkowych, również Kwiatów po cenach niżej kosztu, odbywa się w dalszym ciągu w lokalu prywatnym, przy ulicy Nowy-Swiat Nr 57 (blizko S-to Krzyzkiej).

SZKOŁA

Haliny z Leszczyńskich Tokarzewskiej.

Przyjmuje pensyonarki dorosłe i panienki kształcące się prywatnie. Rysunki i Malarstwo pod kierunkiem artystów malarzy Andrychiewicza i Wiśniewskiego. Półrocze rysunków **rs. 12.** Półrocze haftów artystycznych **rs. 12.** Kursa otwarte 2 Września.

HORTENSYA Nr 7. 47756

Marya MATUSZEWSKA

Przełożona Pensyi Żeńskiej

47634

w Warszawie, przy ulicy Leszno Nr 28.

Zawiadamia, iż zapis uczennic na rok szkolny 1896/7, tak przychodzących jak i pensyonarek, odbywa się codziennie od 10—5-ej, kurs nauk zacznie się 1 go Września.

MAGAZYN DZIECINNY

Z. ŁASKIEJ,

Chmielna 18 (przy Brackiej),

Największy wybór gotowej konfekcyi dziecinnej. Przyjmują się obstalunki. CENY BARDZO NIZKIE.

48128

PIERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE

Felicyi Ginejko przy zakładzie froeblowskim *Jadwigi Chrząszczewskiej*

w Warszawie, Nowy-Świat 21. 474526

Woda Mexico



WSTRZYMUJE *wypadanie* **włosów**

PUDER WARSZAWIANKA.



PUDER WARSZAWIANKA.

TŁOMACKIE 13 SKŁAD GŁÓWNY

Woda Kolońska LUBELSKA Felixa Wazyńskiego.

Dostać można w składach aptecznych i perfumeryach.

4561552

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe pedagoga **REUSSNERA:**

Najlepsza Metoda

do nauczenia się **BEZ NAUCZYCIELA** czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku w **3**-ch **MIESIĄCACH,** po angielsku w **24**-ch **LEKCYACH.** Cena metody niemieckiej kurs niższy 60 k. — kurs wyższy rs. 1 k. 60. Komplet (oba kursa) **tylko 2 rs. METODA ANGIELSKA** z wymową kurs I k. 75, kurs II rs. 1 k. 20, komplet rs. 1 k. 70. **„SAMOUCZEK" POLSKO-FRANCUZKI** z wymową 37 zeszyt. po 15 k. **NAJLEPSZE ELEMENTARZE: POLSKO-NIEMIECKI i RUSKO NIEMIECKI** z wymową, z 14 wzorkami, kop. 35, 20 i 10. **POLSKI** kop. 25, 15 i 4.

Na przesyłkę pocztową dopłata do każdego rubla po kopiejek 20. Skład główny u autora Reussnera) **ZŁOTA 6, w Warszawie.** 418142

Szkoła Prywatna Męzka

przy ulicy Chmielnej numer 13,

przygotowywa uczniów do niższych trzech klas średnich zakładów naukowych. Przyjmuje się nawet nieumiejących czytać i pisać. Wymagane są: metryka urodzenia i świadectwo szczepienia ospy. Przy szkole stancya dla uczniów szkół prywatnych. Zapis odbywa się codziennie od godziny 10 z rana do 2-ej po południu. Przełożony Szkoły

48234 **R. KOWALSKI,**

b. nauczyciel szkół rządowych

Warszawa, ulica DŁUGA № 5.



TELEFONU № 772.

WINA ZAGRANICZNE,

Koniak „IMPERIAL."

Wybór wielki.—Ceny najniższe. 4171626

OGŁOSZENIA

przyjmuje Administracya

26. CHMIELNA 26.

oraz

WARSZAWSKIE BIURO OGŁOSZEŃ

8. WIERZBOWA 8.

BIURO KOMISOWE UNGRA

Warszawa, Krak.-Przedm. 9. Stale posiada na składzie nowe i używane:

Telefonu 734.

- **Biblioteki** dębowe, orzechowe, mahoniowe.
- **Biurka** męskie i damskie.
- **Dywany** perskie, bucharskie, francuskie i syberyjskie.
- **Ekrany** mahoniowe.
- **Fortepiany** i panina.
- **Kredensy** dębowe, orzechowe, mahoniowe
- **Krzesła** dębowe i gięte.
- **Lampy** stojące i wiszące.
- **Lustra** czarne, dębowe, orzechowe, złocone.
- **Łóżka** orzechowe, mahoniowe i żelazne.
- **Meble** salonowe i fantazyjne.
- **Obrazy** i dzieła sztuki.
- **Otomany** jutą lub dywanem kryte.
- **Słupy** drewniane i stiukowe.
- **Stoły** dębowe, orzechowe, czarne.
- **Szafy** dębowe, orzechowe, mahoniowe.
- **Szkło** i porcelana.
- **Toalety** orzechowe, mahoniowe.
- **Umywalnie** orzechowe z blatami marmurowemi.
- **Zastawy** bronzowe na biurka.
- **Zydle** dębowe.
- **Zyrandole** i kandelabry.

Telefonu 734.

2469

CENY NIZKIE.

W Zakładzie Naukowym 6 k.

MARYI RAUM

47933

Nowy-Swiat Nr 15 (róg Jerozolimskiej).

Egzamina wstępne rozpoczną się dnia 2 Września, lekcye 5 Września; zapis pensyonarek i uczennic przychodnich od 26 Sierpnia, między godziną 10—5 po południu.

Дозволено Цензурою, Варшава 27 Августа 1896 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego Redaktor i Wydawca Jan Skiwski. DODATEK.